

Ryszard LEGUTKO

W STRONĘ UMYSŁOWEJ POSPOLITOŚCI*

Fachowcy od edukacji przyjęli samobójcze założenie, iż każdy uczeń jest podobny do głupków z telewizyjnych reklam i że niemożliwe jest skłonienie go do zwykłego uczenia się na tekstach; jedyny przeto sposób zainteresowania go to zniesienie się do jego poziomu.

Kolejne badania poziomu wykształcenia nie wypadły dla naszej młodzieży imponująco. Testy sprawdzające rozumienie tekstu, myślenie matematyczne oraz myślenie naukowe wykazały, iż Polska mieści się na poziomie Węgier, niżej od Czech, Niemiec i Hiszpanii, znacznie niżej od Stanów Zjednoczonych oraz znacznie, znacznie niżej od Korei i Finlandii.

Informacja ta jest po części akuratna i potwierdza obserwacje potoczne, a po części prowadzić może do bałamutnych wniosków. Kto zetknął się z młodzieżą, ten dostrzec musiał, iż z rozumieniem tekstu jest kiepsko. Trudno się zresztą dziwić. Rozumienie wypowiedzi – pisemnej czy ustnej – jest umiejętnością, którą nabywa się przez specjalne ćwiczenia. W niektórych krajach stanowią one od dawna ważny element wykształcenia. W szkołach polskich jednak tego nie uczą, ani kiedyś, ani obecnie. Nie uczą tego także – z nielicznymi wyjątkami – uniwersyteckie wydziały humanistyczne.

Młodzieży pod tym względem nie należy jednak wyróżniać. Niefrasobliwe gadulstwo cechuje także sporą część ludzi, którzy z wieku młodzieżowego wyszli. Wystarczy przyjrzeć się, jak prezentują się u nas polemiki prasowe. Przy najmniej połowa zadrukowanego papieru spowodowana jest niezrozumieniem stanowiska adwersarza. Jeszcze lepszy przykład stanowią dyskusje telewizyjne z udziałem polityków. W większości są to ludzie niezdolni wypowiadać się zwięźle i na temat, ignorujący istotę pytań oraz argumentów. Dzieje się tak nie ze złej woli, ale ze zwykłego braku umiejętności. Porównajmy jakikolwiek polski telewizyjny program publicystyczny z amerykańskimi Meet the Press albo ABC Nightline, a zobaczymy gigantyczną różnicę na naszą niekorzyść. Pojmijmy wówczas, iż kiepsko rozumiejące cudze wypowiedzi nastolatki są kontynuatorami mocno utrwalonej tradycji.

* Niniejszy tekst przedrukujemy za: R. Legutko, *Raj przywrócony*, Ośrodek Myśli Politycznej–Wyższa Szkoła Europejska im. ks. J. Tischnera, Kraków 2005, s. 159-166.

Ilekcroć czytam lub oglądam relacje z konferencji, w jakich zdarza mi się uczestniczyć, zdumiewam się nad różnicą między tym, co słyszałem na konferencyjnej sali, a tym, co znajduję w mediach. Trudno mi powiedzieć, czy zachodni dziennikarze lepiej rozumieją wypowiedzi konferencyjne, ale wiem na pewno, iż ich polscy koledzy mają z tym kłopoty. Ostatnią głośną ofiarą tej nieumiejętności stał się profesor Eisler, którego telewizyjni dziennikarze uczynili obrońcą stanu wojennego. Gdyby ludzi odpowiedzialnych za przeinaczenie znaczenia słów profesora zapytać, co sądzą o niskim poziomie rozumienia tekstów przez naszą młodzież, z pewnością załamałoby ręce i oddali się publicznemu lamentowi, nie dostrzegając, iż oni sami stanowią jedynie potwierdzenie tego samego zjawiska.

Czy istnieją szanse poprawienia relatywnie niskiej pozycji naszej młodzieży? Czy nasze szkoły będą uczyć lepiej? Na razie nie ma szczególnych podstaw do optymizmu. Jeśli młodzi Polacy nie znajdują się na samym dnie w rankingach, to nie dlatego, iż doszło do znaczącej poprawy systemu kształcenia, ale ponieważ wszystkie kraje zachodnie borykają się w kłopotami edukacyjnymi, a nasza oświata – pod względem skuteczności – mieści się w światowej przeciętnej. Narzekania na niski poziom szkół są słyszalne w każdym nowoczesnym społeczeństwie, a dane, jakie przy tej okazji się podaje, są przerażające. Najbardziej dramatyczna sytuacja jest w Ameryce, a więc w kraju, który przoduje w naukowej lidze supermistrzów i którego młodzież zdystansowała polską w rzeczonych badaniach. Cokolwiek by powiedzieć o szkole amerykańskiej, jedno jest pewne: mimo wszystkich wad polskiej edukacji tylko człowiek szalony zamieniłby naszą szkołę na tamtą.

Od dość dawna zdarza mi się prowadzić zajęcia dla studentów zagranicznych i mogę potwierdzić to, co powszechnie wiadomo. Studenci zachodni mają coraz mniej wiedzy ogólnej, a ich znajomość historii i kultury, również własnego kraju, jest kompromitująco mała. Coraz trudniej jest nawiązać intelektualny kontakt z młodymi ludźmi, jeśli najbardziej podstawowy zestaw pojęć wymaga wyjaśnienia, a więc jeśli trzeba tłumaczyć, kto to był Homer czy Szekspir lub kiedy mieliśmy Oświecenie. Dla znacznej części młodzieży tego typu informacje wydają się zbędne i zupełnie oderwane od życia.

U wielu polskich specjalistów od oświaty model amerykański nie wywołuje trwogi, ale zostaje uznany za wzorzec do naśladowania. Gdyby specjalistów zapytać o idealny produkt współczesnej edukacji, odpowiedzieliby zapewne tak: będzie to młody człowiek, który z jednej strony jest pozbawiony głębszej wiedzy o literaturze i historii, a także szczególnej biegłości w matematyce i w teoretycznym aspekcie nauk przyrodniczych, a z drugiej strony potrafi napisać podanie, wypełnić zeznanie podatkowe, zrozumieć informacje giełdowe, biegle obsługiwać podstawowe programy komputerowe oraz rozmawiać w języku angielskim. Ów młody człowiek nie ma wiedzy zwanej pogardliwie „teoretyczną”, „scholastyczną” „encyklopedyczną”, natomiast posiada tak

zwane umiejętności, które sprawią, iż jeśli będzie chciał, to będzie się mógł zainteresować czymś konkretnym w zależności od swoich planów życiowych. Wie on więc niewiele lub zgoła nic o Mickiewiczu, wojnie trojańskiej czy mechanice kwantowej, ale posiada narzędzia, by – jeśli mu przyjdzie ochota – z tymi wszystkimi rzeczami się zapoznać.

Powyższy ideał człowieka wykształconego jest, według mnie, absurdalny z wielu powodów. Pomija on między innymi fakt, iż dla ogromnej rzeszy ludzi szkoła jest jedynym miejscem, a młody wiek jedynym okresem, w którym zdobywa się podstawowe informacje o świecie. Kto nie nauczył się o *Panu Tadeuszu* w szkole, ten najpewniej już nigdy do niego nie sięgnie, a sam utwór i wszystko co on niesie pozostanie na zawsze poza jego świadomością. Kto się w szkole nie nauczy na pamięć odpowiedniej ilości wierszy, ten najpewniej już nigdy ich nie opanuje pamięciowo. W świecie zdeterminowanym przez umiejętności nie ma i nie będzie żadnej presji, by poznać *Pana Tadeusza* lub nauczyć się na pamięć arcydzieł poetyckich; nie ma i nie będzie wstydu, że się tych rzeczy nie zna; nie ma i nie będzie publiczności, która taką wiedzę mogłaby docenić.

Ów ideał jest absurdalny także z racji wprowadzenia opozycji między wiedzą „scholastyczną” a umiejętnościami. Brak wiedzy – należy pamiętać – jest takim samym defektem w wykształceniu jak i brak umiejętności; jedno nie zastąpi drugiego, jedno nie prowadzi też do drugiego w sposób oczywisty. Paradoksem polskiej sytuacji jest to, iż znika ze szkół wiedza „scholastyczna”, natomiast uczenie owych umiejętności przynosi skutki mizerne i w żadnym razie nie rekompensuje dramatycznych erudycyjnych ubytków. Pod pewnym względem zaczynamy przypominać kraje zachodnie. Wprawdzie przeciętny polski młodzieniec wie ciągle jeszcze więcej niż jego zachodni rówieśnik, ale ilość wiedzy wyraźnie się zmniejsza.

Grozi nam więc sytuacja, gdy polski inteligent nie będzie już inteligentem w tradycyjnym polskim rozumieniu, a więc kimś, kto interesuje się kulturą i kto posiada w tym zakresie niezłą orientację. Zmieni się w akulturalnego fachowca w wąskiej dziedzinie, fachowca, z którym trudno będzie nawiązać kontakt intelektualny wykraczający poza przekaz telewizyjny i inne formy kultury masowej. Ten niezwykły fenomen polskiej obyczajowości, zwany inteligentem lub człowiekiem kulturalnym, odejdzie w historyczny niebyt, i to nie dlatego, iż okazał się nieprzydatny w nowych czasach, ale po części dlatego, że został zniszczony przez edukacyjnych szkodników. Rzecz nie jest oczywiście jeszcze przegrana, choć na razie nic nie wskazuje, by coś się mogło odmienić.

Kto miałby wątpliwości, czy taki czarny scenariusz jest prawdopodobny, ten powinien się przyjrzeć współczesnej polskiej szkole wyłonionej dzięki reformie przygotowanej oraz wprowadzonej przez poprzednie rządy – postkomunistyczny i prawicowy. Mam okazję widzieć z bliska funkcjonowanie szkoły podstawowej i im dłużej obserwuję, tym trudniej jest mi uwierzyć, iż w wolnym kraju sami sprokurowaliśmy podobną rzecz naszym dzieciom.

Oświata podstawowa wyrasta całkowicie z najświętszej zasady współczesnych teorii edukacji: dziecko w szkole ma się uczyć przez zabawę, a wiedza ma być – jak to się mówi w dzisiejszej nowomowie – „przyjazna” uczniowi. Efektem tego jest niebywały schematyzm, intelektualna sterylność oraz – jak w wielu innych dziedzinach – bezmyślne wdrażanie najgłupszych pomysłów pedagogiki amerykańskiej.

Oto – żeby nie być gołosłownym – kilka przykładów z obowiązujących dzisiaj schematów. Przykłady pochodzą tylko z jednej szkoły, ale, co łatwo sprawdzić, mają cechę typowości. Za Amerykanami wprowadzono więc jako stały element pracę grupową. Grupowo więc pisze się zadania z języka polskiego, a nawet wiersze (!). Wierszy – proszę zwrócić uwagę – już się nie uczy na pamięć, ale się je pisze. Jakie to są wiersze – nie muszę mówić. Kto kiedykolwiek zajmował się pisaniem, ten wie, iż nie jest to działanie zbiorowe. Nie ma kolektywnych wierszy, ani kolektywnych powieści, ani kolektywnych esejów, ani kolektywnej myśli. Moi znajomi Amerykanie przedstawiają ową metodę jako dowód upadku edukacji w swoim kraju. Grupowe pisanie wprowadzono tam po to, by wykluczyć indywidualną odpowiedzialność, hierarchię oraz stresy. Efektem stało się dalsze obniżenie poziomu. U nas pomysł ten pojawił się jako najnowsze osiągnięcie ducha ludzkiego, które ma wprowadzić nas w krąg narodów cywilizowanych.

Inne przykłady. Uczniowie ciągle rozwiązują krzyżówki i rebusy (nawet na lekcjach religii). Układają także przy każdej okazji komiksy. Uzasadnieniem tego jest – jak się domyślam – teza, iż wiedza podana w sposób komiksowy i krzyżówkowy będzie „przyjazna”. Praktyka temu zaprzecza. Wystarczy sobie wyobrazić permanentne rozwiązywanie krzyżówek i rebusów jako obowiązkową pracę umysłową. Ani to bawi, ani cieszy, ani uczy.

Fachowcy od edukacji przyjęli samobójcze założenie, iż każdy uczeń jest podobny do głupków z telewizyjnych reklam i że niemożliwe jest skłonienie go do zwykłego uczenia się na tekstach; jedyny przeto sposób zainteresowania go to zniesienie się do jego poziomu. Stąd biorą się nie tylko owe obowiązkowe krzyżówki i komiksy, ale także horoskopy (!) oraz pstrokate obrazki, które mają kojarzyć się z teledyskami. W szkole mojego syna posunięto się nawet do tego, iż pani na polskim kazała dzieciom uczyć się młodzieżowej grypsery. Wypisywano więc z powagą w zeszytach wyrażenia, których używa żulia osiedlowa i troglodytowaci konferansjerzy telewizyjnych programów młodzieżowych.

Przyjęte założenie jest samobójcze, ponieważ czyni szkołę instytucją utrwalającą zły stan rzeczy oraz umysłową pospolitość. Jak tu się dziwić, że polska młodzież nie rozumie tekstu, skoro szkoła wychowuje ją na komiksach i horoskopach. Jak się dziwić, że młodzi ludzie mają coraz mniejszą wiedzę ogólną, skoro szkoła odciąga ich od książek i pcha do kultury masowej. Można odnieść wrażenie, iż twórcy dzisiejszej edukacji skapitulowali przed masowością; po-

zostało im tylko robić niemądre grymasy i udawać przed sobą i innymi, że gdy polską młodzież ukształtuje się na komiksach i horoskopach, to – jak w Ameryce – wyrosną z niej nobliści.

Kłopot z taką szkołą nie polega tylko na tym, iż nakłada ona na rodziców obowiązki dokształcania własnych dzieci: kto chce, aby jego dziecko miało obycie w kulturze, nie może zdać się na szkołę. Sprawa jest poważniejsza. Musimy dodatkowo odkręcać całe to szkodnictwo, jakie uprawia dzisiejsza edukacja w stosunku do naszych dzieci. Jeśli udało nam się do tej pory wychowywać synów i córki na książkach, a nie na komiksach, to musimy teraz walczyć z komiksami, których propagowaniem zajmuje się dzisiejsza szkoła. Musimy włożyć zdwojony wysiłek, by odrobić wszystkie straty, jakie niesie ze sobą grupowe pisanie zadań czy szkolne układanie horoskopów. Można powiedzieć, że – przy zachowaniu proporcji – polscy rodzice są w podobnej sytuacji, co ich dziadkowie i pradziadkowie w czasach komuny, a wcześniej w czasach zaborów: muszą nie tylko uzupełniać szkołę, ale nadto przeciwdziałać jej wpływowi.

Dlaczego polskiej szkoły nie udało się poprawić w wolnej Polsce? Odpowiedzi jest wiele. Winę bez wątpienia ponoszą politycy prawicowi, którzy wymyślili reformę, jakiej nie powstydziliby się gorliwi orędownicy edukacyjnego postępu. Wina nie mała leży też po stronie owych specjalistów od oświaty, licznej i wielce wpływowej grupy ludzi, którzy robią kariery zawodowe na ciągłym mieszaniu w szkolnych strukturach i programach oraz którzy doktoryzują się i habilitują z komiksów, prac grupowych i zamiany nazwy „egzamin” na „sprawdzanie kompetencji”, powołując się nieustannie na uczonych amerykańskich. Grupa ta od kilku dziesięcioleci zajmuje się reformowaniem polskiej szkoły, a im więcej reformuje, tym bardziej deklaruje swoją przydatność do przeprowadzenia kolejnych reform. Gdyby kompetencje mierzyć praktycznymi skutkami, to grupa ta, której nie udało się osiągnąć żadnego, nawet najmniejszego sukcesu, a której działanie stanowi ciąg żałosnych porażek, powinna już dawno być odsunięta od jakiegokolwiek wpływu na szkołę.

Są też, oczywiście, przyczyny obiektywne, z których najważniejszą jest masowość oświaty. I tutaj dochodzimy do kwestii kluczowej. Zależność jest prosta. Jeśli chcemy masowości, to będziemy wówczas mieć szkołę z komiksami i horoskopami, szkołę, w której następuje równanie do stale obniżającego się dolnego poziomu. Szkoła stanie się wówczas przechowalnią, a jej podstawowym celem będzie trzymanie dzieci z dala od ulicy oraz nauczenie ich pewnych prostych umiejętności, jakie mogą się przydać w dalszych okresach życia. Młodzież najzdolniejsza – można argumentować – zawsze sobie jakoś da radę i prędzej czy później osiągnie to, do czego ma predyspozycje. Postępująca masowość będzie stopniowo wpływała na kolejne stopnie kształcenia, wliczając w to kształcenie wyższe, zwane kiedyś „uniwersyteckim”.

Powyższy argument trudno obalić, ponieważ w dużym zakresie zdaje on sprawę z tego, co faktycznie dzieje się we współczesnych społeczeństwach. Jeśli

go jednak przyjmujemy, musimy sobie uświadomić, iż falsyfikuje on retorykę oraz ideologię edukacji, jaka dominuje przynajmniej od dwustu lat w Polsce i poza nią. A skoro tak, to nie mają pokrycia w rzeczywistości i mieć nie mogą wszystkie dumne hasła, takie jak społeczeństwo ludzi uczących się, powszechne uczestnictwo w kulturze, rosnący poziom wiedzy wśród obywateli czy wchodzenie Polski w grono społeczeństw wykształconych. Edukacja – tak jak jest faktycznie uprawiana – stanowi więc raczej socjalizację niż kształtowanie umysłów i przekazywanie wiedzy. Edukacja natomiast w sensie ścisłym, a więc nierealistycznym z punktu widzenia dzisiejszych praktyk, stać się musi tym, czym zwykle była, czyli domeną wąskiej elity.

W Polsce nadal dominuje triumfalistyczna ideologia edukacji, mimo że rzeczywistość gwałtownie jej zaprzecza. Być może pewna doza takiej automatyzacji jest społeczeństwu oraz politykom niezbędna. Problem jednak w tym, iż niezmiernie trudno znaleźć w kraju miejsce, czy to w szkolnictwie państwowym, czy prywatnym, gdzie oświata zachowałaby swój pierwotny i autentyczny sens.